

Mahanoro, dnia 27 stycznia 1986 r.

*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja Niepokalana!  
Drodzy Przyjaciele Misji Oblackiej na Madagaskarze!*

Pierwszy wspólny list z Mahanoro rozpoczynam od podziękowania za życzenia bożonarodzeniowe i noworoczne, które powoli dochodzą. Na niektórych widzę własnoręcznie dopisane słowo „przesyła” i podpis pod wydrukowanym tekstem. Takie życzenia też cieszą, ale bez krótkiego listu czegoś brak. Inni wysyłają list i życzenia oddzielnie, w dwóch kopertach, nie oszczędzając na znaczkach. A przesyłka listów kosztuje.

Dzień Wszystkich Świętych przeżyłem jeszcze w Marolambo. Ten dzień przypomniał nam o śmierci młodzieńca, który w lipcu utopił się ratując matkę i córkę. Przed kilku miesiącami matka dwudziestolatka prała bieliznę, gdy jej 8-letnia córka wpadła do wody. Wskoczyła do wody jej matka chcąc ją ratować i obie zaczęły tonąć. Syn wskoczył za nimi, udało mu się uratować siostrę, ale sam nie zdołał ująć z życiem. Jego kolega uratował matkę. W niedzielę po jego pogrzebie wspólnota katolicka poszła do domu złożyć rodzinie kondolencje, taki tu zwyczaj. Byłem i ja. Gdy przyszła kolej na rozmowę ze mną, ojciec przeprosił mnie za to, że nie poszedł na Mszę Świętą chcąc w domu przyjmować ludzi przychodzących z kondolencjami. Powiedziałem, że Bóg patrzący w nasze serca na pewno go nie potępi. Z pewnością ich syn jest zbawiony. Przecież pracował dla Pana Boga, był katechetą, zaangażowanym w pracy z harcerzami przy misji i czynnym w grupie liturgicznej. Na zakończenie dodałem, że teraz mają w niebie patrona ze swojej rodziny, który będzie się nimi opiekował. „I ja tak myślę” – odpowiedział ojciec, który okazał się bardzo wyrozumiałym dla mnie rozpoczynając rozmowę w języku francuskim, przeze mnie łatwiejszym do zrozumienia. W dzień Wszystkich Świętych Ojciec Marian poszedł na jego grób i od razu poszła plotka, że młodzian misjonarzowi objawił się we śnie.

W dniu 2 listopada pożegnany przez Radę Parafialną wyjechałem z Marolambo zabierając ze sobą wszystkie bagaże, popularnie zwane „ubóstwem”. Rzeczy pozostawiłem w Mahanoro, ale sam pojechałem do Tamatawy, aby uczestniczyć w zebraniu misjonarzy. Doroczne zebranie trwało cztery dni. Nie zawsze można odjechać od razu, gdyż - jak zwykle - albo samochód pozostaje w warsztacie naprawczym, albo trzeba czekać na jakieś dokumenty, kogoś odwiedzić, załatwić coś w stolicy, zrobić zakupy na pół roku, Dlatego tym razem wyjechaliśmy z Tamatawy dopiero po dziewięciu dniach. W drodze złamał się resor (tylko jedno pióro), więc zatrzymaliśmy się na misji w Vatomandry. Lepiej, gdy z kabiny ubędzie 85 kg, więc ja rano wsiadłem do malgaskiego autobusu. Jechałem takim „środkiem transportu publicznego” po raz pierwszy. Było nawet dość wygodnie, chociaż trzęsie bardziej, niż w autobusach polskich. Ten autokar chyba resorów nie miał wcale. Ale byłem całą godzinę wcześniej, niż nasz land-rover.

Do Mahanoro zajechałem dnia 13 listopada. W tym samym domu mieszkałem przed pięciu laty, aby uczyć się języka malgaskiego. Teraz robię to samo, co robiłem w Marolambo. Po prostu „jestem u siebie”, chociaż mój sektor zaczyna się prawie 40 km stąd na południe. Zabrałem się do urządzenia sobie pokoju. Mieszkam na piętrze od strony Oceanu Indyjskiego i będę mógł obserwować piękne wschody słońca. Zacząłem od wytarcia kurzu, gdyż już od dłuższego czasu ten pokój nie był zamieszkały. Potem lakierem bezbarwnym pomalowałem biblioteczkę i szafy chcąc mieszkać bardziej kulturalnie. Z mebli pokrytych warstwą lakieru kurz ściera się łatwiej, więc też łatwiej jest utrzymać czystość. Cementowej podłogi nie pastowałem, gdyż podłoga nie jest jeszcze wykończona, potrzebna jest cienka ozdobna warstwa cementu. W przyszłości będzie tu jeszcze ładniej. Na razie wraz z Ojcem Marianem wprowadziliśmy się na tę misję przejmując ją po francuskich Montfortenach. Ojciec Józef, francuski Montforten, będzie proboszczem w Mahanoro do Nowego Roku, zaś Ojciec Sin wprowadzi mnie w sektor.

Szybko minął czas do naszego święta Niepokalanego Poczęcia dnia 8 grudnia. Tym razem nasza siódemka miała spotkać się w Ambinanindrano i... spotkała się w komplecie pomimo kłopotów z samochodami. Dnia 6 grudnia wraz z Ojcem Marianem pojechaliśmy motorami: on

na hondzie 125, ja wolałem na małej hondzie 80. Byłem asekurowany przez Ojca Mariana, gdyż mój motor nie miał hamulców. Czasami hamowałem orząc ziemię piętami. Ambinanindrano leży na wysokości około 170 metrów n.p.m., więc ogólnie biorąc jechałem „pod górę”. Byłem pełen podziwu dla tego małego motoru, który pokonał nawet 20-metrowy odcinek drogi w wodzie po moje kolana ściskające zbiornik paliwa. Całą drogę, 70 km, przejechaliśmy przez 5 godzin, w deszczu, a prowadzone prace naprawcze drogi sprawiły, że błoto było jeszcze większe. Raz stanąłem na cementowej krawędzi mostku i nie miałem odpowiednio dużo miejsca na postawienie nogi, ale udało mi się nie spaść. Nie przewróciłem się ani razu. Szczęśliwy, postawiłem motor przed domem, umyłem się, zmieniłem brudne spodnie na czyste, dobrze zabezpieczone przed wodą w plecaku przywiezionym na bagażniku i poprowadziłem motor do garażu. Wtedy przewróciłem się na gliniastej ziemi, a trzecich spodni już nie miałem.

Przez dwa dni świętowaliśmy patronalne Święto naszego Zgromadzenia i w dniu 9 grudnia powróciliśmy do Mahanoro. Ojciec Roman znalazł jakieś okładziny hamulcowe do tylnego koła mojej hondy 80 i dzięki temu już spokojniej mogłem jechać do domu. Droga była lepsza, deszcz nie padał, słońce niezbyt prażyło. W domu niewiele przebywałem, gdyż w dniu 14 grudnia udałem się do Masomeloka na pełne dwa tygodnie i tutaj spędziłem Święta Bożego Narodzenia.

Masomeloka znaczy „krzywe oko”, ale nie potrafiono pokazać mi osoby, która tam mieszkając ma oko wykrzywione i nie umiałaby mi patrzeć prosto w oczy. W tej misji byłem w maju i wrześniu 1981 r. Niewiele się zmieniło. Dom jest ładny, cementowy, mający 5 pokoi. Piękny, bardzo wysoki i duży kościół też jest z cementu. Wszędzie brudno i pełno szczurów. Wszystkie bielizna pogryziona, a kota tu nie ma. Na samej misji szczurów nie zauważyłem. Jest też cementowy spichlerz dwukondygnacyjny. Duży, stary magazyn został zmniejszony i stał się zapchlona salką katechetyczną. Nawet malgaski katecheta nie chce tam uczyć katechizmu. Przydałby się tu brat zakonny, można by było zamieszkać, bo w pojedynkę nie byłoby dobrze. Od 10 lat nie mieszka tu ksiądz odpowiedzialny za misję i cały sektor, ale dojeżdża z Mahanoro.

Dom jest zbudowany na pięknym, złocistym piasku. Za domem jest misyjny teren, na którym są drzewa i zarośla poprzecinane ścieżkami wygodnymi do spacerowania. Te ścieżki służą ludziom do skracania sobie drogi na ich poletka. Przed domem są drzewa pomarańczowe. Na jednym z drzew była stara tablica informująca, że „te drzewa mają właściciela”, a co za tym idzie, zrywanie owoców jest grzechem. Tę tablicę usunąłem, chociaż o tej porze roku nie ma jeszcze pomarańczy. W tej misji można dobrze wypocząć.

Na razie nie mam motoru. Myślę o kupnie jakiegoś małego, np. honda 50 lub honda 70, bo to tylko 47 km płaskiej drogi po piasku. Trudno przewieźć pirogą motor większy albo samochód, a trzeba pokonać trzy rzeki: pierwsza i trzecia ma prom z silnikiem i przejeżdża się w ciągu 40 + 25 minut, druga rzeka jest wąska, ok. 60 metrów, ale prom nie ma silnika, ciągnie się rękami za linę i w ten sposób posuwa się ku drugiemu brzegowi. Przejazd zajmuje 30 minut. Trzy godziny jedzie się piaszczystą drogą w słońcu lub deszczu. Do tego należy dodać czekanie na prom. Natomiast drogi w busie są trudniejsze, teren jest pagórkowaty, chociaż nie ma gór tak wysokich, jak w Marolambo. Nie mam także przejść długich, najwyżej trzygodzinne przejście między dwoma wioskami. Bardzo liczne są strumyki. Raz przez dwie godziny przeszedłem przez 13 strumyków, co byłoby przyjemne, gdyby nie strome zejścia i wejścia, od 5 do 15 metrów. Malgasze wytyczają drogi w linii prostej. Nieraz można by ominąć jakiś pagórek nakładając 25 metrów, dzięki czemu ja miałbym dwa podejścia i zejścia mniej, a droga prowadziłaby łukiem właśnie nad wodą. Na niektórych pochyłościach nie ma wielu kępek trawy, które stanowią małe zabezpieczenie przed ześlizgnięciem się po glinie. Tak, gliny tutaj też nie brakuje.

Ja zacząłem pracę od porządkowania. Usunąłem z biblioteki trzy metry starych czasopism, przynajmniej dzieci się ucieszyły. Książek palić raczej nie będę, aby nie wpisać się w kronikę misji jako „palacz mądrości”. Próbowałem też zmienić kucharkę. Na razie sprawa trudna, bo obecna kucharka została zatrudniona z motywów charytatywnych. Jedzenie i zapłata za pracę podczas mego pobytu w Masomeloka są dużą pomocą dla niej i jej syna, który jest też moim tragarzem na odcinku od Masomeloka do najbliższej wioski. Za przeniesienie bagażu na tym odcinku ja zawsze płacę. Kucharka stara się, jak może, już robi trochę czyściej, ja też się chyba przyzwyczaję do jej pracy. Wieczorem przez dwie godziny dom oświetlony jest elektrycznością z

baterii słonecznej, to pożyteczna zabawka mego poprzednika. Dom, to znaczy dwie żarówki w jednym pokoju.

Wiosek do odwiedzania mam tylko 21, a więc dużo mniej, niż w Marolambo. Odwiedziłem je wszystkie. Do trzech nowych już mnie zaproszono „na przyszły raz”, czyli podczas następnego obchodu w kwietniu-maju. Ciekawsze przeżycia? Było tak.

W dwunastu wioskach są kościoły, przeważnie kryte blachą. To, co było na ołtarzach, przypominało obrusy. Trzeba będzie kupić coś porządniejszego, jak już kupiłem w dniu przybycia na ołtarz w Masomeloka. Ołtarze-stoły nie zawsze są solidne. Raz odprawiałem Mszę Świętą na szkolnej ławce. W czterech wioskach jest nauka katechizmu, w innych na razie jest katechizm i lista uczniów. Ludzie wydają mi się biedniejsi, niż w Marolambo, ale pracowitsi i skłonniejsi do współpracy. Tylko w dwóch wioskach nie było łóżka i materac był położony na podłodze. W trzech wioskach dach przeciekał, w jednej nie mogłem przesunąć łóżka i broniąc się przed wodą kładłem płaszcz przeciwdeszczowy na moskieterę. W jednej z wiosek ludzie przypomnieli sobie, że byłem u nich we wrześniu 1981 r., piłem kawę bez cukru i uczyłem śpiewać pieśń zaczynającą się od słów: "Wybrał dla mnie Pan".

W pewnej wiosce poproszono mnie o kupienie blachy na kościół, bo oni nie są w stanie zebrać tyle pieniędzy: 22 blachy po 20 dolarów. Mieszkająca tam wspólnota jest nieliczna, ale bardzo gorliwa. Trzy kościoły zniszczyły im huragany (1969, 1970, 1977). Po każdym zniszczeniu odbudowali, a właściwie zbudowali kościół nowy, silniejszy. Teraz też wzmacniają istniejący, chociaż zastanawiałem się, czy nie lepiej byłoby zmienić miejsce na bardziej osłonięte? Jest tu nauka katechizmu. Kiedyś wioska była bardziej jednomyślna i współpraca lepiej rozwinięta. Mieli, na przykład, rodzaj ochronki dla dzieci w czasie prac na ryżowiskach. Każda matka w kolejności pilnowała w zbudowanym na ten cel domu wszystkie małe dzieci, które swoim matkom nie przeszkadzały w pracy. Teraz do wspólnoty należą tylko silni w wierze. Katecheta postanowił „ochrzcić” malgaską ofiarę z wołu. Kupił to zwierzę, aby je wspólnie spożyć. Potem przy swoim domu postawił duży krzyż z drzewa. Podczas tradycyjnej ofiary z wołu do ceremonii należy używanie drzewa w kształcie litery „Y”, które zostaje postawione w środku wioski na pamiątkę tego witan. Katecheta postąpił zgodnie z malgaską tradycją, zastępując drzewo „Y” drewnianym krzyżem. Wkrótce zmarło dziecko katechety. Słabsi w wierze przestali się modlić uznając związek przyczynowy tych dwóch zdarzeń. Przykre.

Do jednej z wiosek nie dotarł program mojego obchodu misyjnego. Przeszedłem w niedzielę. W wiosce było cicho. Niekatolicy pracowali na swoich polach, katolików zastałem modlących się w kościele. Przewodniczył zastępca katechety. Sam katecheta poszedł do drugiej wioski, aby tam wygłosić kazanie podczas niedzielnego zebrania modlitewnego bez księdza. Takie zdarzenia bardzo cieszą, gdyż świadczą o regularnej modlitwie.

W sąsiedniej wiosce 15 osób przystępuje do Komunii Świętej. Pięknie śpiewają, ślicznie ozdobili kościółek, przygotowali smaczny posiłek. A jednak oni najbardziej mnie niepokoją. Podczas Mszy Świętej nie ma młodzieży, a dzieci grają w piłkę obok kościoła. Nie ma katechizacji, pewny znak, że wspólnota umrze, choć dopiero może za kilkanaście lat. Proszą mnie o ochrzcenie ich dzieci. Odmawiam, gdyż nie zasługują, aby przyjąć ich dzieci do Kościoła Katolickiego. Nie dają żadnej nadziei na przygotowanie tych dzieci do chrześcijańskiego życia.

Inna wioska przypomniła mi powiedzenie mędrca: „jeśli z radości podskoczysz do góry, uważaj, aby ci ktoś ziemi spod nóg nie sprzątnął”. Doznałem entuzjastycznego wprost powitania (ciasto do kawy!), królewski obiad z frytkami!!!. Zaprosiło mnie czterech z siedmiu kupców. Jeden z nich postawił zimne piwo tracąc dwie butelki (chodziłem z katechetą, a pijących nas było sześciu)... Do tej wioski można jeszcze dojechać dużymi łodziami z towarem i stąd wielka liczba handlarzy. Dalej już wszystko trzeba nosić. Po południu poszedłem do kościoła. Miałem wrażenie, że ściany się przewracają, ale wyjaśniono mi, że ten kościół jest na ukończeniu budowy i proszono mnie o jego poświęcenie podczas następnego obchodu. Zamiast ołtarza ławka wypożyczona ze szkoły. Przyszło kilka kobiet, dwóch mężczyzn z sąsiedniej wioski, sporo młodzieży i dzieci, które wkrótce zakończą naukę katechizmu. Tu znają też najnowsze pieśni, śpiewane w Mahanoro. Do Sakramentów Świętych przygotowuje nie katecheta, lecz uczennica z

liceum w Mahanoro, która przyjeżdża przynajmniej raz na miesiąc do swego domu rodzinnego, pożytecznie spędzając czas. Najwięcej uczy podczas swoich wakacji.

W innej wiosce, znanej mi z września 1981 r., zaprowadzono mnie do domu obitego blachą, więc nie tylko dach, ale i ściany nagrzane słońcem. Poobiedniej sjeście przeszkadzało mi też radio za ścianą nastawione na pełny regulator. Gospodarz potrafił naprawiać i zwykle miał kilka tranzystorowych odbiorników. Ta rodzina przygotowywała się do święta urządzanego z okazji urodzin ich dziesiątego dziecka. Najmłodsze jest trzecim z kolei żyjącym, gdyż siedmioro dzieci po kolei zmarło. Takie święto urządza się zazwyczaj we wrześniu, ale rodzice czekali, aż minie okres najbardziej niebezpieczny dla życia ich dziecka. Wół był już kupiony, przez trzy noce poprzedzające rozlegały się śpiewy. Natomiast w kościele ludzi bardzo dużo, głośno śpiewali dorośli. Dzieci i młodzież pozostała milcząca podczas całej Mszy Świętej. Po nabożeństwie zatrzymałem się przed kościołem próbując porozmawiać z dziećmi. Dopiero wtedy dzieci zaczęły śpiewać, odprowadzając mnie do domu. Tutaj jeszcze przynajmniej przez pół godziny darli się radośnie. Dlaczego nie śpiewali w kościele? Ze strachu, bo mnie jeszcze nie znali. Na drugi dzień rano odprawiłem nieprzewidzianą programem drugą Mszę Świętą, aby dzieciom dać okazję do uczestniczenia we Mszy Świętej bez strachu wobec mnie. Pokazali, że potrafią modlić się czynnie. Zastanawiam się, dlaczego tak zareagowały te dzieci obecnie, skoro w tej wiosce we wrześniu 1981 r. nie spotkałem się z lękiem najmłodszych? I nie przypominam sobie, abym wtedy dał im powód do takiego lęku.

W Wigilię Bożego Narodzenia powróciłem do domu w Masomeloka, gdzie już pracowała z młodzieżą Siostra Klara (Claire), malgaska zakonnica ze Zgromadzenia Córek Bożej Mądrości, nauczycielka w szkole katolickiej w Mahanoro. Siostra ta z jedną aspirantką (to znaczy kandydatką do zakonu) przybyła już dnia 21 grudnia. Młodzież okazała jej swoją wdzięczność przede wszystkim wyrażając życzenie, aby siostra Klara przyjechała tu także podczas Świąt Wielkanocnych. Dużo było zajęć, modlitw, przygotowań w czasie samych Świąt. Zresztą, nic dziwnego ani nic nowego. Przedstawienie tak się spodobało, że nie tylko niektóre śpiewy i tańce, ale cały spektakl trzeba było powtórzyć na drugi dzień.

Dnia 27 grudnia wraz z młodzieżą udałem się odległej o 9 km do wioski, do której - zdaniem mego poprzednika - przeprowadziła się z drugiej strony Masomeloka jedna rodzina katolicka i należało ją odwiedzić. Droga po piasku, bo to w sześciokilometrowym pasie wzdłuż Oceanu Indyjskiego. Po drodze dużo śpiewamy, jak to robią młodzi Malgasz. Z misji wyszliśmy o 7-ej rano i nie spiesząc się (bo przecież Malgasz nie potrafi nic robić szybko) doszliśmy o 9<sup>30</sup>. W wiosce było cicho, ale poszukiwanego katolika znalazłem. Program dostał, lecz wyraził żal, że nie było nas o jeden dzień wcześniej. „Wczoraj było tu bardzo dużo ludzi, a dziś nie ma dla kogo odprawić Mszy Świętej”. Odmowa typowa dla Malgasza. Nie chce albo nie może, ale nie powie wprost. Wydaje mi się, że szef wioski nie wyraził zgody. Zaraz przyniesiono mi kawę, pokrajane ananasa i zaproponowano, abym pozostał na obiad. Ja jednak zdecydowałem się natychmiast wracać do Masomeloka i już o 9<sup>45</sup> pożegnałem gościnnego gospodarza jako że „godzien jest robotnik zapłaty swojej”, a ja tu nic nie zrobiłem. Młodzież pozostała, od razu przystępując do gotowania obiadu (ryż przynieśli ze sobą, a liście do sosu znajdują się wszędzie). Ponad dwie godziny siedłem do domu w pełnym słońcu, po piasku. Zdjąłem sandały, aby doświadczyć, co czują Malgasz chodzący boso. Trudno mi było wytrzymać przez dłuższą chwilę. Po przybyciu na misję w samo południe od razu włożyłem termometr w piasek przy misji: wskazał 51°C. Po raz pierwszy na Madagaskarze czułem się tak zmęczony, że nie chciało mi się jeść. Poprzestałem na dwóch szklankach mleczka kokosowego. Zmęczenie było spotęgowane doznaniem zawodem: pięć godzin marszu na próżno. W południe o tej porze roku słońce świeci dokładnie nad głową.

Dnia 28 grudnia od południa jesteśmy przygotowani do wyjazdu, ale dopiero wieczorem o godzinie 7-ej przyjeżdża Hindus przywożąc mi listy. Jest ciemno, więc wkładam je do torebki z pieniędzmi i dokumentami, które zawsze trzymam w ręku. Pół godziny później podziwiam kierowcę wjeżdżającego na prom po zniszczonym pomoście: z trzech desek jest tylko jedna cała, dwie są zniszczone w połowie i nie dotykają ziemi. Drugi prom bez silnika pokonaliśmy też z

łatwością i szybko. O godzinie 10-ej wieczorem dojechaliśmy do trzeciego promu i byliśmy tylko 12 km od domu, nie licząc rzeki Mangoro. Rzena tuż przy ujściu do Oceanu rozlewa się szeroko i prom przejeżdża 2 kilometry. Samo ujście pomiędzy dwoma plażami ma nie więcej, niż 150 metrów. Po obfitych opadach woda wysoka i nocą przejechać promem jest niebezpiecznie. O godzinie 11-ej katecheta przyniósł mi kolację. Na szczęście jest w tej wiosce maleńki domek dla misjonarza zamykany na klucz, ale z powodu wypaczonych drzwi jest to zamknięcie symboliczne. O godzinie wpół do dwunastej katecheta udał się na poszukiwanie jakiegoś koca i prześcieradła dla mnie, a ja czekając siadam na progu domu i czytam otrzymane listy w świetle zapalniczki. Zawsze w obchodzie misyjnym noszę zapalniczkę na benzynę, chociaż ja nie napełniam jej benzyną, lecz naftą, która nie paruje tak szybko. Lektury listów w takich warunkach jeszcze nie przeżyłem!

Na drugi dzień rano dowiedzieliśmy się, że z powodu „wysokiej wody” pracujący na promie bali się przejeżdżać po wzburzonej wodzie i na pewno mieli rację. Znają się dobrze na tutejszej wodzie, która już niejednego nieroztropnego śmiałka pozbawiła życia. Teraz ich duchy błąkają się nie mogąc zjednoczyć się z Bogiem i są postrachem Malgaszy.

*Z serdecznym pozdrowieniem  
w Chrystusie i Maryi Niepokalanej  
O. Jan Sadowski, OMI*

PS. Jest legenda o pewnym księdzu, że kurs jazdy samochodem robił na Saharze. Rosło tam jedno jedyne drzewo i... trafił w nie uderzając dokładnie w równej odległości od lewej i prawej lampy, czyli w samiuśki środeczek! Powtarzano to bardzo często podziwiając technikę jazdy tego kierowcy, który był kapelanem w Armii Andersa. Teraz już nikt nie wie, czy to jest, czy też nie jest historią prawdziwą. A przypomniało mi się to, gdy ujrzałem znak „stop” przy skrzyżowaniu dwóch dróg bardzo piaszczystych w miejscu niezbyt zabudowanym. Czy w takim miejscu trzeba zachowywać kodeks drogowy? Czy przebywając samemu na pustyni obowiązują te same prawa, które obowiązują w wielkich miastach? A co z Dekalogiem, gdy ktoś wybrał się na wakacje na pustynię? Czy podczas urlopu polskich katolików też obowiązuje Dekalog? I jeszcze jedno pytanie: młodzi, czy wiecie, co to jest Dekalog?

\* \* \* \* \*